

Bezrobotni ludzie, robotny rząd

Grzegorz W. Kołodko 18-02-2010, ostatnia aktualizacja 18-02-2010 23:43

Następnego prezydenta wybierać będzie społeczeństwo z jeszcze większą masą bezrobotnych niż obecnie i ani chybi dlatego premier Tusk wycofał się zawczasu ze startu w wyborach. No bo po co startować i przegrać? – pisze były wicepremier



autor: Seweryn Sołtys

źródło: Fotorzepa



autor: Mirosław Owczarek

źródło: Rzeczpospolita

W coraz liczniejszych blogach toczą się coraz ciekawsze dyskusje. Może dlatego też spada czytelnictwo niektórych gazet, które nader gorliwie służą rządowej propagandzie, podczas gdy inteligentni ludzie szukają rzeczowych wyjaśnień, co i dlaczego tak, a nie inaczej wokół nas dzieje się naprawdę. W moim blogu (www.wedrujacyswiat.pl/blog/) – pośród ogromu innych ważkich spraw – ostatnio ponownie podniesiona została kwestia bezrobocia, a dokładniej zależności pomiędzy jego poziomem i dynamiką gospodarczą.

Przytaczając wypowiedź na jednym ze spotkań z czytelnikami „Wędrującego świata”, internautka pisze: „powiedział Pan, że w Polsce przybywa miejsc pracy, gdy dynamika wzrostu PKB osiąga około 3 proc. w skali roku. Rząd obecnie mami nas propagandą sukcesu gospodarczego (oaza spokoju w kryzysie, najlepszy minister finansów Europy itd.). Tymczasem 2009 rok to wzrost poniżej 2 proc., a 2010 rok pewnie również nie przyniesie 3-proc. wzrostu. Czeka nas zatem wzrost bezrobocia?”.

Niestety, tak. Bezrobocie wciąż rośnie i nadal będzie się zwiększać – przez cały ten rok i pewnie jeszcze dłużej.

Poszukujących pracy przybywa

Stopa bezrobocia na koniec 2009 roku wyniosła 11,9 proc., czyli o 2,4 pkt proc. więcej niż rok wcześniej. Tylko w jednym, ostatnim, miesiącu zeszłego roku liczba bezrobotnych skoczyła w górę prawie o 82 tysiące (z nierejestrowanymi jest to znacznie więcej). To dużo. Bardzo dużo. O ile do listopada 2008 roku stopa bezrobocia sukcesywnie się obniżała, to już od roku i kwartału ludzie poszukujących bezskutecznie pracy systematycznie przybywa.

Przedtem, przez kilka lat – od marca 2003 roku, kiedy to w wyniku zasadniczej zmiany polityki gospodarczej w latach 2002 – 2003 odwrócona została tendencja w tej materii, do listopada 2008 roku – zatrudnienie rosło. W tym czasie bezrobocie zredukowano o bez mała 12 punktów procentowych (z maksymalnego podczas dwudziestolecia transformacji 20,7 proc. do minimalnego 8,8 proc.). I teraz znowu jest to o ponad 3 punkty procentowe, czyli licząc po ludzku, o jakieś pół miliona ludzi więcej...

Sądę, że za rok o tej porze być ich może kolejne 150 – 160 tysięcy więcej i stopa bezrobocia oscylować będzie wokół 13 proc. Oczywiście, propaganda rządowa i jej media okrzyczą to znowu sukcesem, no bo, wiadomo, wybory... Ale już pod koniec roku dynamika PKB w Polsce będzie nie „najwyższa w Europie”, ale dużo gorsza niż u naszych bliższych i dalszych sąsiadów. Niektórzy wyprzedzają nas pod tym względem już w obecnym, pierwszym kwartale 2010 roku. W następnych miesiącach takich krajów, cieszących się wyższym tempem wzrostu, będzie coraz więcej, zwłaszcza tam, gdzie rządy uprawiają prozatrudnieniową politykę interwencyjną.

Zwijane interesy

Dlaczego zatem bezrobocie rośnie, skoro rośnie produkcja? Otóż w naszych warunkach wzrost PKB jest w całości efektem wzrostu wydajności pracy. I to jest dobra wiadomość. Wydajność zwiększa się wskutek zauważalnego postępu technicznego i organizacyjnego, w wyniku podnoszenia kwalifikacji pracowników i jakości zarządzania mikroekonomicznego, w następstwie lepszej dyscypliny pracy i skuteczniejszych systemów motywacji. Polacy są coraz lepiej wykształceni, kadry menedżerskie na coraz wyższym poziomie. I to daje owoce w postaci szybko rosnącej wydajności pracy.

Niestety, w tym samym czasie działa mechanizm obniżający ogólny poziom produkcji poprzez likwidację wielu miejsc pracy w zakładach, które nie są w stanie sprostać silnej konkurencji lub po prostu w aktualnych realiach rynkowych nie znajdują opłacalnego zbytu na swe produkty i usługi. Zwijają zatem interes. Automatycznie powoduje to zwalnianie ludzi i narastanie bezrobocia.

Jaka na to recepta? Przecież tak bywało także we wcześniejszych okresach, ale wtedy bezrobocie spadało. Chociażby w latach 1994 – 1997, kiedy to ubyłoby ponad milion bezrobotnych, a stopa bezrobocia została obniżona z 16,9 proc. w lipcu 1994 roku (rezultat szoku bez terapii) do 10,3 proc. w październiku 1997 roku (rezultat „Strategii dla Polski”).

Zgubny nurt neoliberalny

Otóż, jedyną metodą zaradczą jest szybsze tworzenie nowych, konkurencyjnych miejsc pracy w porównaniu z tempem utraty starych. Tak się walczy z bezrobociem, a nie poprzez ochronę stanowisk pracy, które nie są w stanie sprostać wymogom rynku. No, ale to z kolei wymaga inwestycji i ekspansji przedsiębiorczości. A tu – w tym roku „sukcesu gospodarczego” – stopa inwestycji (czyli procentowy udział nakładów inwestycyjnych w dzielonym PKB) spadła o ponad 1 punkt procentowy i wynosi już tylko 21 proc. To źle wróży na przyszłość, obecna stagnacja bowiem może się odbić za kilka lat swoistym echem w postaci kolejnej fali wygasania dynamiki produkcji.

Tak długo, jak polityka makroekonomiczna rządu i oddolna przedsiębiorczość sektora prywatnego nie będą w stanie wprowadzić polskiej gospodarki na ścieżkę dynamiki gospodarczej gwarantującej szybsze tworzenie nowych miejsc pracy, zwłaszcza w usługach i sektorach opartych na wiedzy, niż wynosi ich ubywanie w firmach nieefektywnych i sektorach starych, tak długo będzie rosło bezrobocie. Tak właśnie było na początku minionej dekady oraz na jej przełomie, tak też dzieje się obecnie.

Innymi słowy, tak było i jest w Polsce zawsze, gdy polityce gospodarczej przyświeca nurt neoliberalny i gorliwość jego politycznych zwolenników. Jest on zgubny z punktu widzenia poprawy jakości kapitału ludzkiego i zmniejszania skali wykluczenia społecznego, co jest nieosiągalne wobec narastania i tak już masowego bezrobocia.

Internautka przypomina w blogu, że mówiłem „również o tym, że w Stanach czy w Niemczech, gdzie gospodarka jest bardziej dojrzała, wystarczy ok. 1 proc. wzrostu i już zatrudnienie wzrasta. Z czego to wynika?”.

Otóż właśnie z tego, że tam z jednej strony wydajność pracy nie rośnie aż tak szybko jak w wielu krajach tzw. wyłaniających się rynków. Z drugiej zaś – w krajach zaawansowanego kapitalizmu, a w USA w szczególności, dalece bardziej elastyczny jest rynek pracy i wyraźnie większa ruchliwość ludności – tak przestrzenna, jak i zawodowa. Stąd też już wzrost zagregowanego popytu rządu 1 – 2

proc. może powodować absorpcję netto nadwyżkowej siły roboczej. Występuje tu sprzężenie, w którym przyczyny przeplatają się ze skutkami: wzrost popytu powoduje szybko wzrost zatrudnienia, a z kolei przyrost zatrudnienia automatycznie stymuluje zwiększony popyt.

Fiskalny konserwatyzm

Rozumie to świetnie prezydent Barack Obama, który w swoim expose o stanie państwa podkreślił, że walka z bezrobociem to najwyższy obecnie priorytet jego rządu. To zrozumiałe, bo 10-procentowe bezrobocie w USA jest najwyższe od pokolenia i sam Obama też takiego nie pamięta. Co gorsze, jest ono najwyższe od czasu, w którym notuje się bezrobocie długotrwałe, czyli od 1948 roku.

Ale za rok w Stanach Zjednoczonych bezrobocie będzie niższe wskutek wzrostu PKB o jakieś 2,5 – 2,8 proc. Nie spadnie ono jeszcze do 8 proc., przy którym to poziomie Amerykanie wybrali nowego prezydenta, ale ku temu będzie szło. Także będzie w eurolandzie, gdzie bezrobocie również spadnie poniżej obecnego 10-procentowego dzięki przyrostowi PKB o około półtora procent. A w Polsce, choć produkt ten zwiększy się na podobną skalę – a może nawet trochę szybciej – bezrobocie wzrośnie.

Tak więc pomimo statystycznie rejestrowanego, choć realnie nieodczuwalnego wzrostu produkcji mamy za sobą wydłużający się okres ustanej niepowodzeniami polityki makroekonomicznej, która poprzez swój fiskalny konserwatyzm przyczynia się do relatywnego obniżania zagregowanego popytu, a tym samym spadku zatrudnienia i wzrostu bezrobocia. Z tegoż powodu przed nami następne co najmniej kilkanaście podobnych miesięcy. Wielka szkoda, bo tak wcale być nie musi. Ale tak być musi pod obecnymi rządami.

Następnego prezydenta Rzeczypospolitej wybierać będzie społeczeństwo z jeszcze większą masą bezrobotnych niż obecnie i ani chybi dlatego premier Tusk wycofał się zawczasu ze startu w wyborach, no bo po co startować i przegrać? Przecież to rząd jest i będzie obarczany odpowiedzialnością za lawinowo zwiększające się bezrobocie. I słusznie.

Gdyby bowiem rok temu posłuchał dobrych rad o potrzebie uruchomienia specjalnego pakietu fiskalnego, to teraz – przy dynamice PKB rządu 3 – 4 procent – mogłoby już rosnąć zatrudnienie, a i deficyt budżetowy byłby dużo mniejszy. I można by kandydować, gdyby bezrobocie miało szybować ku poziomowi 13 proc., spadało do pułapu 8 proc.

Autor jest profesorem ekonomii, był wicepremierem i ministrem finansów w rządach premierów Pawlaka, Cimoszewicza, Oleksego i Millera. Obecnie wykłada w Akademii im. Leona Koźmińskiego w Warszawie

Rzeczpospolita